

Władysław Stefanoff

Wspomnienia z
Powstania Warszawskiego

Treść prelekcji przedstawionej przez autora
na zebraniu Koła Lekarzy i Medyków
Powstania Warszawskiego
przy Warszawskim Towarzystwie Lekarskim
w dniu 29 stycznia 2004r.

Siedlce 2004 r.



Prelegent w towarzystwie prof. Andrzeja Danysza
gospodarza zebrania



Zaproszeni goście, między innymi dr Jan Gliński i
dr Józef Hornowski



Autor z dr Czesławą Mikołaj z Australii i jej mężem Stefanem



Autor z Prof. Marią Kobuszewską-Faryną

WSPOMNIENIA Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W przeddzień wybuchu Powstania Warszawskiego zawiadomiono nas, że mamy udać się na Marymont. Mieliśmy wziąć udział w ataku na Instytut Wychowania Fizycznego na Bielanach. Instytut obsadzony był przez niemiecką jednostkę pancerną.



Kiedy o oznaczonej godzinie jechaliśmy tramwajem, usłyszeliśmy strzelaninę. Trzeba było wysiąść wcześniej, na Żoliborzu, droga zatarasowana była przez niemieckie czołgi - „Tygrysy”.

Po krótkiej naradzie przyłączyliśmy się do grupy AK, zajętej w tym czasie kopaniem rowu przecinającego jakąś boczną ulicę.

-Niezbyt dobrze to wszystko wygląda - powiedziałem do kolegów. -Lubię walkę o równych szansach, a my jesteśmy bezbronni, właściwie z gołymi rękami.

- Kiepska sprawa - zauważył Bogusławski. - Mierzi mnie ta strzelanina. Przyznam wam się, że jeszcze nigdy w życiu nie strzelałem.

- Nie szkodzi. Za to do ciebie będą strzelać, bo my nie mamy z czego.

- A czy to przynajmniej wybuchnie? - mamrotał pod nosem Faryna, obracając w rękach granat domowego wyrobu.

- Niedługo będziemy mieli okazję dowiedzieć się. Patrzcie, coś nadjeżdża.

Rów był już przekopany. W naszą stronę zbliżała się niemiecka ciężarówka. Schowaliśmy się za dom. Ciężarówka zatrzymała się. Rzuciłem granat. Filipinka narobiła dużo huku, ale Niemcom nic się nie stało. Wystraszeni

wyskoczyli z samochodu, repetowali karabiny. Jakiś kolejarz uzbrojony w małe rewolwer pobiegł w ich stronę i wystrzelił pięć razy. Ręka mu się trzęsła, nie trafił. Żołnierze bez oddania jednego strzału wycofali się w kierunku Szwedzkich Piasków.

W rękach została nam pierwsza zdobycz, samochód. W samochodzie cytryny, cukierki i granaty. Uczciwe granaty. I komplet narzędzi do małej chirurgii. Narzędzia wziąłem dla siebie, a granaty rozdałem. Po dwa dla każdego. Byliśmy trochę dumni z pierwszej zdobyczy.

Tymczasem Niemcy opanowali główne ulice Żoliborza. Grupy źle uzbrojonych powstańców nie były w stanie walczyć skutecznie z wrogiem. Dowódca Żoliborza - pułkownik *Żywiciel* (Mieczysław Niedzielski) - zarządził w nocy przemarsz oddziałów AK do Puszczy Kampinoskiej.

Nasza trójka schroniła się na noc do jakiegoś sierocińca czy klasztoru. Nad ranem zobaczyliśmy milczące sylwetki około pięciuset powstańców wycofujących się powoli z miasta. Dołączyliśmy do nich i po paru godzinach dobrnęliśmy do lasu.

Kiedy tak wędrowaliśmy w głąb puszczy, z zainteresowaniem przyglądałem się naszemu uzbrojeniu. Największy podziw budził ciężki karabin maszynowy. Widziałem około stu pistoletów maszynowych typu sten, kilkadziesiąt rewolwerów i dość dużo granatów - filipinek. Było to uzbrojenie godne pożałowania. Jedna drużyna żołnierzy Wehrmachtu mogła stawić nam skuteczny opór.

W miejscowości Laski zobaczyłem po raz pierwszy partyzantów z lasu. Przywieźli rannych do szpitala. Mieli doskonałą postawę bojową i dobre uzbrojenie. Ubrani byli w mundury polskich żołnierzy. Przyjechali furmankami.

- Kiedy wracacie? - zapytałem jakiegoś kaprała.
- Za kilka godzin.
- Skąd jesteście?
- Spod Wilna - odpowiedział kaprał.

- Spod Wilna?
- A tak, spod Wilna. My tu od niedawna. Przeszliśmy Wisłę pod Modlinem.
- Kto wami dowodzi?
- Nie można powiedzieć - zaśpiewał wilnianin.

- Biliście się z Niemcami? -A bili się.
- Dużo rannych i zabitych?
- Zabitych ośmiu, rannych będzie z dwunastu.
- A Niemcy?
- Prawie stu zabitych, czternastu wziętych do niewoli.
- To niemożliwe!
- Możliwe, możliwe, w lesie to oni nie tacy mocni.
- Zabierzcie mnie ze sobą.
- Nie można.
- Dlaczego?
- Taki rozkaz.
- Dam wam zegarek, dobry zegarek, na kamieniach. Kaprał spojrział na Omegę i widziałem, że załamał się.

- No, jednego to mogę wziąć. Ale jak dowódca was nie przyjmie, to nie moja sprawa.

- Dobrze, na pewno przyjmie, jestem lekarzem.

Kaprał spojrział na mnie z większym szacunkiem, a ja pomyślałem, że moje kłamstwo jest całkiem niewinne. Student kończący medycynę czy lekarz - to przecież niewielka różnica. Wcisnąłem partyzantowi zegarek do ręki. Nie chcąc mnie wykorzystywać dał mi w zamian karabin i pięćdziesiąt naboju. Czuję się wspaniale, miałem z czego strzelać i miałem pewnych, obytych z wojną towarzyszy.

Wróciłem do stodoły, w której spędziłem ostatnią noc razem z gromadką

młodych ludzi. Dowiedziałem się od nich, że moja grupa z Marymontu została rozgromiona przez czołgi. Za późno dowiedzieli się o wymarszu, było już widno, kiedy szli polami. Czołgiści niemieccy urządzili sobie zabawę: strzelali mało, gonili powstańców i wgniatali ich ciała w rozmiękłą ziemię. Niemcy lubili takie zabawy. Kiedy gąsienica czołgu dosięgała chłopca, rozlegał się przeraźliwy krzyk; trzasku łamanych kości nie słyszało się, warkot motoru zagłuszał wszystko oprócz krzyku. Za czołgiem zostawała krwawa masa, wgnieciona w miękką ziemię.

Przy słuchaniu opowiadania naocznego świadka budziły się we mnie wątpliwości, czy to wszystko było potrzebne. Ze wschodu i zachodu napierały olbrzymie armie. Niemcy stawiali opór, ale klęska ich była nieunikniona. To była tylko kwestia czasu. Czy ofiara z najlepszych synów Warszawy była konieczna? Nad miastem unosiły się dymy i łuny pożarów, płonęło piękne miasto i ginęli młodzi chłopcy z filipinkami w rękach.

Jak ginąć, to ginąć, ale nie byle jak. Wróciłem do mojego kaprała. Szykowali się już do drogi, zaprzęgali konie do furmanek. Usiadłem obok niego. Świsnął batem i ruszyliśmy w głąb Puszczy Kampinoskiej.

- Od jak dawna jesteście w lesie? - zapytałem.

- Sporo czasu.

- W jakich okolicach?

- Różnie. Najwięcej koło Wilna i Grodna.

- Powiedz coś o tych waszych walkach.

- Dużo by opowiadać. Jak nas raz zamknęli w trzech kotłach, to myślałem, że wszystkich nas wytłuką, uratował nas deszcz, byliśmy na bagnach, położyłem się w wodzie i czekałem śmierci. Oddychałem przez drewnianą rurkę, inni też tak robili. Własowcy człapali, człapali blisko mnie, ale w końcu poszli. Poszli dalej i złapali tylko niewielu ludzi z naszych oddziałów. Żeby nie ten deszcz, byłoby po nas.

- Macie niezłe uzbrojenie.

-A mamy: haubice, ciężkie i lekkie karabiny maszynowe, pistolety, karabiny wielostrzałowe i zwykłe. Amunicji do końca wojny, wszystko zdobyczne.

- Kto wami dowodzi?

- Teraz to powiem. *Dolina*, porucznik *Dolina*, cichociemny, skoczek spadochronowy. Przedtem nazywał się *Góra*, teraz to on jest *Dolina*.

- Opowiedz mi coś o wczorajszej bitwie. Tylu Niemców zabitych? Jak to się mogło stać?

- Powiedzieli im, że w lesie jest czterdziestu bandytów. Wpuściliśmy ich w sam środek Puszczy Kampinoskiej. Bali się, szli powoli, mieliśmy czas zastawić pułapkę.

- Ilu was jest?

- Półtora tysiąca.

- Sporo.

- Jak przechodziliśmy przez Wisłę, to było nas tylko ośmiuset. Ale teraz jest dużo chętnych, dołączają, proszą się, żeby ich przyjąć.

- Mówiłeś o pułapce.

- Wpuściliśmy ich do takiej dolinki obstawionej ze wszystkich stron. Oni nas nie widzieli. Na rozkaz padły strzały. Popłoch, zamęt, terkot karabinów maszynowych, wybuchy szrapneli, granaty. Rzucali broń, uciekali. Wtedy zaatakowała kawaleria. Niewielu uciekło, do niewoli wzięliśmy czternastu.

Dojechaliśmy do głównej kwatery partyzantów, do wsi Wiersze. Zameldowałem się u dowódcy i zostałem przyjęty. Przydzielono mnie jako lekarza do kompanii porucznika *Witolda*. Dostałem trochę leków i środków opatrunkowych.

Spaliśmy w stodołach. Już pierwszej nocy coś zaczęło mnie gryźć -były to wszy. Chłopcy z lasu mieli bardzo dużo wszy. Nie rozbierali się, spali w mundurach, gotowi w każdej chwili do walki.

W nocy usłyszałem strzały. Poderwałem się z wyrka. Na moich to-

warzyszach nie zrobiły one najmniejszego wrażenia, byli przyzwyczajeni, czuli się pewnie w lesie. Tutaj nawet czołgi i samoloty były dla partyzantów mało groźne. A piechota niemiecka miała w lesie te same, jeśli nie gorsze szanse.

Od porucznika *Witolda* dowiedziałem się, że przed samym wybuchem powstania grupa *Doliny*, działająca dotychczas na własną rękę, została zreorganizowana i podporządkowana kapitanowi *Szymonowi*. Był to dowódca Ósmego Rejonu AK, któremu podlegał *Kampinos* (Józef Krzyczkowski). Po przemieszaniu chłopców z lasu z ludźmi *Szymona* powstał pułk o nazwie *Palmiry-Młociny*.

Od czasu do czasu robiliśmy wypadki na tory kolejowe i szosy. Chodziło nam o szerzenie zamieszania i dezorganizowanie transportów.

W jednej z takich bitew dostaliśmy porządne lanie. Kilkudziesięciu własowców pędziło stado krów. Zakwaterowali się na noc we wsi odległej od lasu o kilka kilometrów. Chcieliśmy zabrać im krowy. Wszystko popsowały psy i księżyc. Psy zaczęły przeraźliwie ujadać, sygnalizując naszą obecność. Własowcy wdrapali się na drzewa. Tego nie przewidzieliśmy. Podpuścili nas blisko i zniemacka wygarnęli. Od razu zabili ludzi na taczankach. A myśmy najwięcej liczyli na nasze ciężkie karabiny maszynowe. Strzały własowców były celne i nim zorientowaliśmy się, skąd padają, powstał popłoch. Oświetlili całą okolicę rakietami, wzywając pomocy. Już po kilku minutach zobaczyliśmy kolumny samochodów zdążających w naszą stronę. Las był daleko. Zmykaliśmy co sił w nogach.

Po dwóch tygodniach mojego pobytu w Puszczy Kampinoskiej *Szymon* dostał rozkaz przerwania ludzi do Warszawy. Nikt na to nie miał ochoty, ale rozkaz musiał być wykonany. *Dolina* wybrał ośmiuset ochotników, wśród nich i mnie. Całą kawalerię, trochę piechoty i furmanki zostawił dla siebie. W rozkazie Komendy Głównej AK było powiedziane, żeby wszystkie oddziały z *Kampinosu* poszły do Warszawy. Dowódca miał wątpliwości co do celowości tego rozkazu; wiedział, że będzie więcej mógł zrobić dla sprawy nękając wroga z lasu. Musiałby zresztą

rozstać się z końmi, na co nie miał ochoty; kawaleria nie nadawała się do walk w mieście. A więc rozkaz został tylko częściowo wykonany.

Poszliśmy. Prowadził nas porucznik *Witold*, weteran walk leśnych, cały pokryty bliznami. Wziął ze sobą łączniczkę, młodą warszawiankę, poznaną niedawno w Kampinosie. Była naszym przewodnikiem. Poszedł także z nami słynny porucznik *Dan* ze swoją doborową drużyną.

Wybraliśmy drogę przez Szwedzkie Piaski. Szliśmy powoli, ostrożnie. W porównaniu z powstańcami z Warszawy stanowiliśmy pewną siłę. W większości byli to doświadczeni ludzie i mieli doskonałe uzbrojenie.

Niemcy albo nas nie zauważyli, albo udali, że nas nie widzą; przeszliśmy bez jednego strzału. Żoliborz powitał nas z entuzjazmem, ludzie podziwiali polskie mundury i dobrą broń. Dostaliśmy kwaterę przy ulicy Suzina. Chłopcy z lasu czuli się jednak niewyraźnie. Przyzwyczajeni byli do walk w innych warunkach i zdawali sobie sprawę z odmienności sytuacji. Dobrze przeczuwali swoje przyszłe losy.

Chwilowo nic się nie działo. Niemcy strzelali i myśmy strzelali. Pukanina bez większych strat. Kilku ludzi wysłanych na zwiady doszło niedaleko Dworca Gdańskiego do niemieckich okopów. Wywiązała się walka i Niemcy uciekli. Jeden z nich został zabity. Nasi założyli miny na przedpolu i pośpiesznie wycofali się.

Tymczasem Starówkę wykańczały niemieckie samoloty i artyleria. Któregoś dnia przedostał się na Żoliborz kuzyn mojej żony, Załęski. Przeprowadził dwudziestu ludzi kanałami.

- Janusz, jak się tutaj dostałeś? - zapytałem.
- A widzisz jak, po górnach.
- Przebierzcie się, nie można się do was zbliżyć.
- Nie warto, zaraz wracamy.
- Znowu wracacie do tego piekła?
- Musimy.
- Po co przyszliście?

- Przynoszę rozkazy i chcę zabrać trochę broni.
- Co słyszeć na Starówce?
- Wszyscy uciekają kanałami do Śródmieścia.
- Co więcej?
- Na Woli Niemcy wieszają powstańców na latarniach.
- Słyszałeś coś o szpitalu na Woli?
- Słyszałem. Niemcy urządzili rzeź: poukładali chorych na podłodze i strzelali im w kark.

- A lekarze, pielęgniarki?
- Tak samo jak wszyscy, tak zginął profesor Grzybowski.
- Nie wiesz, czy można przejść kanałami do Wisły?
- Można, ale ujścia kanałów przy Wiśle są zakratowane, nie dacie sobie z tym rady.

- Dobrze by było dostać się do Armii Berlinga.
- Małe szanse. Wisła pod bardzo silnym ostrzałem, całą noc oświetlona reflektorami.

- Co będzie dalej? Jak myślisz, wybrniemy z tej matni?

- Nadciągają dywizje pancerne *Wiking* i *Herman Goering*. Będzie jeszcze gorzej. A z nimi dywizja żandarmerii wyspecjalizowana w pozostawianiu za sobą spalonej ziemi.

Załęski przekazał rozkazy, zabrał broń i wrócił znowu kanałami na Starówkę.

Po kilku dniach naszego pobytu na Żoliborzu zawiadomiono mnie, że ma się odbyć jakaś bardzo ważna narada. Poszedłem. Zebranych było około piętnastu ludzi: nasi oficerowie z Kampinosu, major *Okoń* i ja, facet bez stopnia. Porucznicy mieli do mnie zaufanie i widząc, na co się zanosi, chcieli usłyszeć moje zdanie o projektach majora.

Major zawiadomił nas, że został mianowany dowódcą pułku *Palmiry* - *Młociny* na miejsce ранego kapitana *Szymona*. Obecnie wszystkie oddziały z

Kampinosu podlegają jego dowództwu, tak samo i nasz batalion. Mówił nam dużo komplementów. Nikt się nie odzywał, wszyscy mieli ponure miny i zachowywali się dziwnie nerwowo. Major był wesolutki, ale jego projekty makabryczne. Chwalił nasze świetne uzbrojenie. Powinniśmy zaatakować Dworzec Gdański, zdobyć go, a potem obronić przed Niemcami Starówkę; że sprawa tego wymaga, że taki jest rozkaz Głównego Dowództwa AK. Czy się zgadzamy?

Popatrzyliśmy na siebie. Czy ten były oficer zawodowy zwariował? - mówiły nasze spojrzenia. Nikt jednak nie protestował, to byli bardzo dzielni chłopcy i trochę nieśmiali. Ja nie wytrzymałem.

- Na Starówkę nie dojdzie ani jeden człowiek - powiedziałem.

- Dlaczego? - zachnął się *Okoń*.

- Dlatego że na torach jest pociąg pancerny. Przed torami dwie linie okopów i bunkry, z lewej Cytadela, a z prawej Instytut Chemiczny. Jak nas tylko zobaczą to dostaniemy taki ogień zaporowy, że nikt nie przejdzie. Poza tym na Starówce zastalibyśmy tylko gruzy. Nie byłoby czego bronić.

- Niemców jest niewiele - przekonywał *Okoń*. - Trochę ludzi zginie, reszta przejdzie.

- Majorze, nikt nie przejdzie. Dobre są akcje wymagające odwagi, ale tam gdzie nie mamy szans, nie powinniśmy marnować ludzi.

Po wyjściu majora partyzanci zaczęli przeklinać. To nie był las. Czuli się bezsilni.

- Zobaczycie, co będzie - ostrzegałem. - Może dowództwo nie ma dokładnego rozeznania sytuacji na naszym odcinku. Zresztą róbcie, jak chcecie, ja się zastosuję, rozkaz jest rozkazem.

Któryś z oficerów wspomniał coś o sądzie wojennym. Obawiał się, że oskarżyliby nas o nieposłuszeństwo, a nawet o tchórzostwo. Rozeszliśmy się w żalobnych nastrojach.

Następnej nocy ruszyliśmy od ulicy Lisa Kuli. Porucznik *Dan* ze swoją

drużyną oderwał się od reszty: to była nasza straż przednia, dlatego zaszedł najdalej. Jak było do przewidzenia, po kilku minutach Niemcy zobaczyli nas i oświetlili całą okolicę rakietami; było jasno jak w dzień. Oni nas widzieli dokładnie, a my nie wiedzieliśmy, do kogo strzelać. I zaczęła się siekanina. Major *Okoń* leżał sobie bezpiecznie za murkiem i popędzał do ataku. Niemcy ostrzeliwali nas z trzech stron, głównie z cekaemów, ogniem równoległym do ziemi, wyregulowanym na wysokości pół metra. Znajdowaliśmy się na otwartym polu, nie było gdzie się schronić. Dołączyła się do tego artyleria. Świetlne pociski bzykały we wszystkich kierunkach; masakra, jatka.

Leżałem i rozpaczliwie wydrapywałem rękami dołek w wilgotnej ziemi. Podniosłem niechcący lewą nogę do góry i dostałem postrzał w lewą łydkę. Bólu nie czułem, tylko krew pociekła mi po spodniach. Zobaczyłem za sobą pielęgniarkę i przyczołgałem się do niej.

- Nic tu po nas - wrzasnąłem. - Jestem ranny, odprowadź mnie do jakiejś piwnicy.

Mimo piekielnego hałasu zrozumiała, o co chodzi. Wycofywaliśmy się czołgając po ziemi, dobrnęliśmy w ten sposób do murku, gdzie leżał major. Tam już było bezpiecznie. Stałem na nogi i opierając się o pielęgniarkę pokuśtykałem do piwnicy najbliższego domu, w której było już kilku rannych. Położyłem się na leżaku, a dziewczyna zajęła się moją nogą.

Łoskot na górze wzmagał się. Tam ginęli nasi ludzie w nierównej, beznadziejnej walce.

Bilans tego ataku był tragiczny: czterdzieści pięć procent atakujących powstańców zostało na polu i prawie cała broń, jaką mieli ze sobą. Trupy leżały nieopgrzebane, rannym nikt nie mógł pomóc.

Następną noc ten sam rozkaz. Tym razem zginęło dalszych piętnaście procent atakujących. Zginął porucznik *Dan* i jego drużyna. *Dan* był najwaleczniejszym człowiekiem, jakiego znałem. Jeszcze w lesie partyzanci śpiewali piosenki o jego wyczynach. Z ośmiuset ludzi biorących udział w

dwóch atakach na Dworzec Gdański zginęło pięciuset.

Tymczasem na Żoliborzu zapanował względny spokój. Samoloty amerykańskie z wielkiej wysokości zrzucały niecelnie broń; zrzuty dostawały się przeważnie Niemcom.

Major *Okoń* nie zginął. Dowiedziałem się potem, że przedostał się do Kampinosu, gdzie spowodował podobną klęskę. Kiedy pod naporem przeważających sił wroga partyzanci chcieli przedostać się z Kampinosu do Lasów Świętokrzyskich, to *Okoń* tak nieumiejętnie manewrował całą grupą, że doprowadził do zagłady całego pułku *Palmiry-Młociny*. Zamiast zakwaterować ludzi na noc w lesie, za torami, rozłożył obóz na otwartym polu. Pod Jaktorowem dopadła ich niemiecka dywizja pancerna. Zmasakrowali kilka setek ludzi, część wzięli do niewoli, tylko nieliczni kawalerzyści dostali się małymi grupkami do Nowego Miasta nad Pilicą. Przypuszcza się, że *Okoń* został zastrzelony przez jednego z własnych żołnierzy. Opowiadał mi o tym po wojnie profesor Zakrzewski, laryngolog z Uniwersytetu Poznańskiego, uczestnik bitwy pod Jaktorowem.

Po klęsce w walkach o Dworzec Gdański zakwaterowano nas w szkole zwanej Poniatówką. Włączono nas do ugrupowania *Żaglowiec*.

Odżywialiśmy się kiepsko. Jedliśmy jakąś obrzydliwą kaszę. Każdy z powstańców starał się coś zdobyć na własną rękę. Polowałem nawet na koty i gołębie; marne to było jedzenie. W czasie jednej z wędrówek w poszukiwaniu żywności poznałem weterynarza zamieszkałego w pobliskiej willi. Zaprosił mnie i moją koleżkę na obiady, na śledzie z kartoflami. Cóż to było za wspaniałe jedzenie!

Rozmawialiśmy, co robić dalej, jak wydostać się z Żoliborza za Wisłę albo do lasu. Zastanawialiśmy się, czy Niemcy będą tak samo bestialscy na Żoliborzu, jak na Woli. Należało zapewnić sobie jakieś schronienie, jakąś kryjówkę.

Przypomniały mi się podziemne korytarze, jakich używali mieszkańcy

Bałkanów w czasie niewoli tureckiej. Odwiedziny Turków były zawsze połączone z zabieraniem do niewoli dzieci i młodych kobiet. W górskich wioskach, w razie niebezpieczeństwa, chłopci opuszczali swoje domy i Turcy nie zastawali nikogo. Gdzie się chronili? Albo w górskich pieczarach, albo w podziemnych korytarzach, do których dostawali się zazwyczaj przez kanały studzienne.

- Nie ma tutaj jakiej studni? - zapytałem gospodarza.

- Nie ma. A raczej jest jedna, ale zasypana. Ma zdjęty zewnętrzny krąg. W podwórzu domu, róg Felińskiego i Alei Wojska Polskiego, obok waszej kwatery.

- Zasypana?

- To stara studnia. Jak założyli kanalizację, to była już niepotrzebna.

- Trzeba ją odgrzebać.

Decyzja zapadła. Tonący i brzytwy się chwyta. W ciągu jednego dnia odgruzowaliśmy przeszło dwa metry. Potem zapal ostrygł. O kopaniu bocznych korytarzy nie mogło być nawet mowy, nie mieliśmy odpowiednich narzędzi. Zrobiłem przykrywą z desek, a na otwór położyłem płytę z marmuru. Na to wszystko, dla zamaskowania, narzuciłem różnych śmieci i kamieni. W każdym razie dwie, trzy osoby mogły tutaj schować się i przeczekać jakiś krytyczny moment.

Nocną atrakcją były odwiedziny odważnych pilotów. W powodzi ognia przeciwlotniczego te kruche i małe kukuruźniki zawsze zdołały zrzucić broń i wrócić do bazy. Nie widziałem, żeby który z nich był strącony. W dzień chodziliśmy na strych szkoły i strzelaliśmy do Niemców. Były to strzały niecelne ze względu na dużą odległość.

Któregoś dnia dowiedziałem się, że grupa czterdziestu ludzi z Armii Ludowej będzie próbowała przedostać się do Kampinosu. Poprosiłem mojego dowódcę o pozwolenie pójścia z nimi do lasu, dla utrzymania kontaktu z *Szymonem*. Poszliśmy w nocy. W jakiejś podmiejskiej osadzie dowiedzieliśmy się, że Niemcy zdążyli się już okopać. Trzeba było przedostać się przez potrójną linię okopów. To mi się nie

podobało.

- Co macie zamiar robić? - spytałem,

- Poczekamy do rana. Trzeba to wszystko obejrzeć przy dziennym świetle - odpowiedział alowiec.

- Ja wracam na Żoliborz. Macie słabe szanse: jeden okop można zdobyć, ale trzy...

Wracałem sam. Dochodząc do Żoliborza usłyszałem strzały na linii okopów. Grupa Armii Ludowej nie wróciła. Prawdopodobnie udało im się przejść. Może niektórzy zginęli. Nigdy nie dowiedziałem się o ich dalszych losach.

Nastroje wśród powstańców były coraz gorsze. Czekaliśmy na skoncentrowany atak samolotów, artylerii i czołgów. I doczekaliśmy się. W nocy nalot i ryk dział. Pole przed szkołą było zaminowane. Pierwszy „goliat” wyleciał w powietrze, następny uderzył w mury szkoły. Straszliwy wybuch wstrząsnął budynkiem; wyrwa w murze była ogromna, dużo zabitych, porucznicy *Stanisław* i *Janusz* ciężko ranni. Zaczęliśmy się wycofywać. Po wyjściu ze szkoły zostałem trafiony odłamkami szrapnela w lewe płuco, przewróciłem się. Moi towarzysze pobiegli na drugą stronę Alei Wojska Polskiego. Zalałem się krwią czułem krew wszędzie, w spodniach, na brzuchu, plulem krwią. Zorientowałem się, że jestem w pobliżu studni. Nie miałem już siły uciekać dalej. Wstałem, zbliżyłem się do studni. Śmiecie maskujące to miejsce zostały zmiecione przez wybuchy pocisków artyleryjskich. Nie było czasu na zastanawianie się ani na powtórne maskowanie otworu. Odrzuciłem klapę i wsunąłem się do środka. Zasunąłem klapę i czekałem, co będzie dalej.

Usiadłem na blaszanym pudle. Brakło mi tchu. - Wylew do opłucnej - pomyślałem. Ból nie był duży, ale odczuwałem okropną duszność. Butelka wody leżała na ziemi, w pudle było trochę sucharów. Wyjąłem z kieszeni opatrunek, zrzuciłem dwie koszule i niemiecką zdobyczną „żabkę”. Nie mogłem założyć opatrunku, rana znajdowała się nad obojczykiem. Zabandażowanie tego miejsca jest trudne. W końcu udało mi się zamocować tampon na właściwym

miejscu. Koszule zlepione były krwią i nie miałem ochoty wkładać ich na siebie. Będąc nagi do pasa poczułem się trochę lepiej.

Wyjąłem grudkę opium, którą dostałem od weterynarza dla rannych żołnierzy. Odgryzłem kawałek gorzkiej masy, podobnej kolorem do mlecznej czekolady i popiłem wodą. - Nowa ofiara wojny - pomyślałem. - Zginę jak pies. Nie będę miał siły wydostać się stąd, zgniję w tej studni i znajdą mnie dopiero wtedy, kiedy trupi smród zwróci czyjąś uwagę.

Opium zaczęło działać, ból i rozstrój nerwowy mijały. Byłem spokojny i obojętny na dalszy przebieg wypadków.

Kiedyś i tak trzeba zginąć - myślałem. Co za różnica wcześniej czy później.

Studnia dawała dobrą osłonę przed pociskami i bombami. Mógł się zawalić sąsiedni budynek, a studni i tak by pewnie nie zasypało. Łoskot na górze wzrastał; dudniło, warczało, wybuchało. Sądny dzień. Po upływie pewnego czasu, którego nie byłem w stanie określić, jak na komendę hałas ucichł. - Teraz wejdzie do akcji piechota - rozumowałem.

Po kilkunastu może minutach usłyszałem krzyki Niemców: - Weg, weg, hande hoch, schnell, schnell, polnische Schweine. - Wyciągali ludzi z domów. Ktoś tłumaczył przestraszonym głosem, że jest volksdeutschem. Rozległ się czyjś płacz, strzały, lamenty kobiet. - Prędkiej, prędkiej - rozkazywali niemieccy żołnierze. Usłyszałem nad głową stukot ciężkich buciorów. Wystąpił na mnie kroplisty pot. Mówili coś, ale niewiele rozumiałem. Jeden z nich stanął na kamieniach maskujących studnię. Miałem wrażenie, że chce odsunąć klapę. Wycelowałem mojego smith-wessona w górę i czekałem, aż pokaże się głowa Niemca. O poddaniu się nawet nie pomyślałem. Byłem głęboko przekonany, że zostanę zabity - jak nie w studni, to pod murem. Nie chciałem zginąć jak Żydzi; niewielu z nich stawiało opór, ginęli zazwyczaj bez walki.

Zginę, ale zabiorę na tamten świat chociaż jednego Niemca - myślałem. - W magazynku mam sześć naboí. Muszę z sobą kogoś zabrać, na pewno mnie zabiją, mam przecież przy sobie niemiecką „żabkę”. Dostałem ją ze zdobytego magazynu,

ale oni pomyślą, że zdarłem ją z jakiegoś zabitego Niemca.

Ktoś zawołał ostrzegawczo i żołnierz przy kłapie cofnął się. Naradzali się. Nie wiedzieli, co może znajdować się pod kłapą. Potem oddalili się i zaczęli rzucać granaty. Granaty wybuchały mi nad głową, ale deski były ułożone starannie w dwóch warstwach i żaden odłamek nie dostał się do środka. Milczałem. Potem usłyszałem, jak przy kłapie upadło coś ciężkiego. W kilka chwil później zobaczyłem przez szparę płonący lont. Wybuch był znacznie silniejszy. W studni zakurzyło się. Czarny gryzący dym, potem cisza. Wybuch nie naruszył jednak ciężkiej kłapy. Prawdopodobnie była to wiązka granatów. Niemcy oddalili się; doszli widocznie do wniosku, że pod deskami nie ma nikogo. Może bali się min.

Łyknąłem trochę wody. Jak w przyspieszonym filmie przesuwały się obrazy najważniejszych momentów mojego życia. Błyskawiczne obrazy. Czulem śmierć. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że z tej sytuacji nie wyjdę.

Postanowiłem zaatakować. Granaty położyłem na ziemi. Żeby nie robić hałasu, puszkę z sucharami przykryłem zakrwawionymi koszulami i „żabką”. Stałem na puszcze i jedną ręką odrzuciłem kłapę. Położyłem rewolwer obok kłapy i chwytając się obydwoma rękami za brzegi otworu skoczyłem w górę i zawisłem w powietrzu.

Kilka metrów przede mną stał niemiecki żandarm, robił wrażenie pijanego. Ukląknę na deskach, złapałem rewolwer i skoczyłem na niego. Niemiec repetował schmeissera - za późno. Mignęła mi jego młoda, czerwona twarz. Strzeliłem w brzuch, osunął się na ziemię.

Na odgłos strzału z domu wybiegli inni żołnierze, też żandarmi. Pobiegnę im naprzeciw, z odległości trzech metrów strzeliłem dwa razy w brzuchy. Obaj zwalili się na ziemię, trzeci zdążył wychylić głowę przez drzwi wyjściowe i natychmiast schował się. Usłyszałem dudnienie jego butów na pierwszym piętrze.

Łapiąc z trudem oddech wybiegnę na ulicę Felińskiego. Z lewej strony, w odległości około pięćdziesięciu metrów, stał szwab przy karabinie maszynowym,

odwrócony do mnie tyłem. Strzały nie zaalarmowały go. Nie było żadnych krzyków, wszystko odbyło się błyskawicznie. Strzelali wszędzie, a uwagę wartownika zwróciło coś, co działo się za jego plecami.

W gumowych butach, nie robiąc hałasu, wpadłem do szkoły. Nie miałem już siły. Ciężko dysząc stanąłem na chwilę w korytarzu i po krótkim namyśle wszedłem do jednej z klas. Prawie natychmiast w oknie ukazała się głowa innego wartownika. Strzeliłem nie podnosząc rewolweru do oka .; Niemiec zsunął się w dół, zdążyłem tylko zobaczyć małą dziurkę w hełmie.

Nie zastanawiając się, co robię, jak oszalały wybiegłem na korytarz. Biegłem w przeciwnym kierunku, niż powinienem, w stronę rumowiska powstałego po wybuchu „goliata”.

Nagle zapragnąłem wleźć gdzieś między gruzy, między deski i bale, i odpocząć, przeczekać do nocy. Szukając odpowiedniego miejsca piąłem się w górę. Ze szczytu rumowiska zobaczyłem salę jadalną; w sali, jak gdyby nigdy nic, siedziało przy stole czterech Niemców jedząc spokojnie śniadanie. Widząc ich zdałem sobie sprawę, że już nigdzie się nie schowam. Zbiegłem po rumowisku w dół. Niemcy poderwali się łapiąc za schmeissery zawieszane na poręczach krzeseł. Znowu dwa strzały w brzuchy. Kompletnie zaskoczenie. Obaj trafieni, a pozostali dwaj padli na podłogę. Ci ostatni nie wiedzieli oczywiście, że nie miałem już więcej naboju.

Wpadłem w drzwi i znalazłem się na podwórku. Szkoła zbudowana była w kształcie podkowy. Na podwórku nie było nikogo. Pobiegnę w stronę bloków urzędniczych przy ulicy Rokitny. Przy najbliższym stało kilkadziesiąt cywili zбитych w gromadę. Zbliżyłem się do nich, patrzyli na mnie przerażeni, widzieli mnie poprzednio strzelającego koło studni. Sprawdziłem magazynek, był pusty; odrzuciłem rewolwer.

- Gdzie nasi? - krzyknąłem. Pokazali rękami w stronę Alei Wojska Polskiego.

Pobiegnę jak opętany. Z tyłu, z odległości jakichś stu metrów, strzelano do

mnie. Odwróciłem głowę i zobaczyłem dwóch kolejarzy niemieckich. Nie gonili mnie, strzelali z karabinów w pozycji klęczącej. Biegłem dalej w zygzakach, kule bzykały blisko.

Chciałem wbiec do głębokiego rowu przeciwczołgowego, przekopanego w poprzek Alei Wojska Polskiego. W ostatniej chwili, w drugim końcu mignęły mi hełmy. Rów był zajęty, szwaby posuwały się rowem w tym samym kierunku. Nie było wyboru, biegłem dalej górą, bez osłony; po drugiej stronie Alei uskoczyłem za blok mieszkalny.

Na ziemi, blisko mnie, leżał jeden z naszych kaprali, trochę dalej drugi partyzant. W bloku, w oknie na parterze, stał jakiś stary człowiek i gotował coś na kuchence; jego obecność była jakaś nierealna, abstrakcyjna. Kapral żył jeszcze, zbliżyłem się do niego.

- Dlaczego nie uciekasz? - zapytałem.
- Mam przetrącony kręgosłup - zacharczał z wysiłkiem.
- Gdzie reszta?
- Tam jest rów. Niemców jeszcze tutaj nie było. Nie mogę wstać.
- Czołgaj się, ja ci pomogę.

Pociągnąłem go w stronę rowu. Po chwili zobaczyliśmy jakiegoś Akowca przemykającego między drzewami. Pokazał mi willę, gdzie schowała się grupa niedobitków z Kampinosu. Wpadłem do środka, kierując się od razu do piwnicy, gdzie pielęgniarki opatrywały rannych.

Założyły mi nowy opatrunek i dały jakąś dziewczęcą pizamę. Pośpiesznie opowiadałem im moje perypetie. Potem powiedziałem, że nie mogę tutaj czekać na Niemców, mogliby mnie poznać. A mnie na pewno nie braliby do niewoli, kula w łeb i sprawa załatwiona.

Namówiłem jednego młodego chłopca, żeby poszedł ze mną do szpitala. Miał dwa pistolety maszynowe; podzielił się ze mną bronią i amunicją. Bez pośpiechu powędrowaliśmy do szpitala.

Tam sytuacja nie była lepsza: czekali na przybycie Niemców. Położyli mnie

do łóżka. Obok mnie stanęła jakaś lekarka.

- Załatwią nas tak jak na Woli - mówiłem do niej.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedziała. - Podobno Dowództwo Powstania uzyskało dobre warunki kapitulacji.

- Na czym polega ta dobroć?

- Mamy poddać się i oddać broń, a będziemy traktowani jak regularna armia.

- To znaczy jak?

- Oficerowie pójdą do oflagów, a żołnierze do stalagów. -Nie wierzę.

Gdzie jest dowództwo naszej dzielnicy?

- Podobno w „Szklanym Domu” na Placu Wilsona.

- Powinniśmy przepłynąć Wisłę albo przedrzeć się do Kampinosu. Zapadła noc. Po kilkugodzinnym wypoczynku nie wytrzymałem dłużej i poszedłem w stronę placu Wilsona razem z moim młodym towarzyszem. Potykaliśmy się w ciemnościach. Kiedy byliśmy w pobliżu placu, zobaczyliśmy kilkanaście czołgów ustawiających się przed „Szklanym Domem”. Weszliśmy do najbliższego budynku; był to bardzo długi blok przy ulicy Mickiewicza 27. W piwnicy pełno ludzi - sami cywile, zapakowani i przygotowani do wymarszu, z walizeczkami w rękach.

Dostaliśmy trochę sucharów i cukier w kostkach. Jedliśmy łąpczywie rozglądając się jednocześnie za jakimś ubraniem. Szukałem także maszynki do golenia, chciałem ogolić brodę. Maszynki nie znalazłem, ale udało mi się znaleźć płaszcz. Był to czyjś szkolny, granatowy szynel, trochę za mały, ale prawie dobry. Wziąłem też do ręki jakąś damską torbę. Każdy miał coś do niesienia, więc ja też musiałem mieć coś w ręku; w torbie były pomidory.

Po kilku godzinach przyszedł do mnie jakiś starszy pan.

- Chcielibyśmy wywiesić białą płachtę - zagaił. - Czy pan nie ma nic przeciwko temu?

- Kto? Ja?

-No tak, pan.

-Może pan się pomylił, ja nie jestem przedstawicielem tego bloku.

- To znaczy, że pan się zgadza?

-Oczywiście. Wywieście jakieś prześcieradło i poddajcie się, Powstanie Warszawskie już się skończyło.

- To może panowie będziecie łaskawi ukryć wasze pistolety, mogą zrobić złe wrażenie na Niemcach.

- Zgoda, teraz są nam zupełnie niepotrzebne.

Rankiem ludzie zaczęli wychodzić z bloku; formowały się długie kolumny posuwające się w stronę Dworca Zachodniego. Nie widziałem nigdy ludzi tak wolno idących, nawet na pogrzebach, krok za krokiem, człap, człap. Po pewnym czasie znaleźliśmy się niedaleko ulicy Felińskiego. W podwórku szkoły stały cztery karetki pogotowia ratunkowego, koloru kremowego z Czerwonymi Krzyżami.- Skąd się wzięły takie karetki? - pomyślałem. - Samochody wojskowe powinny być pomalowane na zielono, w łaty. Musiały to być wozy zarekwirowane warszawskim szpitalom. Jednego byłem pewny, te karetki przyjechały po „moich” Niemców. Mimo woli zrobiło mi się przykro. Nie tyle z powodu tych żołnierzy, którzy na pewno mieli na sumieniu wielu Polaków, Rosjan czy Żydów. Zrobiło mi się żal wszystkich ofiar wojny. Dlaczego ludzie tak się mordują?

Po drodze spotykaliśmy małe grupy żołnierzy: w mundurach żandarmów, werhmachtu, kolejarzy, czołgistów i kilku gestapowców, Przyglądali nam się i od czasu do czasu któryś z nich pokazywał palcem na jednego z nas mówiąc: - Bandit. - Kiedy tak mówili o mnie, obawiałem się, że zostanę wyciągnięty z szeregu, ale jakoś do tego nie doszło.

Weszliśmy na tory. Przy peronie stał pociąg towarowy z otwartymi wagonami. Ktoś zawołał na mnie, machali do mnie rękami koledzy ze szkoły, Irena i Jan Stosiowie i jeszcze jeden, którego nazwiska nie pamiętam. Mieli wagon już załadowany, ale wciągnęli mnie do środka.

Jechaliśmy do obozu w Pruszkowie, gdzie miała się odbyć segregacja jeńców.

Pociąg ruszył; można było uciec, ale dokąd i po co? W tej olbrzymiej masie ludzkiej czuliśmy się dość raźnie.

W Pruszkowie, jako ranny, dostałem się do innej hali niż Stosiowie. Spotkałem tam moją dawną sympatię, pannę Łopatto. Była dla mnie bardzo dobra, opiekowała się mną, przynosiła mi jedzenie. Byłem bardzo osłabiony, gorączkowałem.

- Miałeś w tym wszystkim dużo szczęścia - mówiła.

- Miałem, ale i tak chyba zdechnę, w moim płucu dzieje się coś niedobrego.

- Niewiele brakowało, a byłbyś już między aniołkami. -No tak.

- Byłeś odważny.

- Ze strachu; nie cierpię zabijać ludzi.

- Kto inny by tego nie zrobił.

- Nie wiadomo. Myślisz, że przyjemnie jest być zabójcą, nawet w obronie własnej, nawet na wojnie?

- Celnie strzelasz.

- Tak sobie. W sytuacjach ekstremalnych robi się wszystko lepiej niż zazwyczaj. Może powiodło mi się dlatego, że nie wierzyłem w ocalenie. Człowiek nie mający nic do stracenia jest zawsze niebezpieczny. Bałem się być rozstrzelany albo powieszony.

-Powinieneś iść do lekarza.

- A są tu tacy?

- Jest sporo lekarzy polskich.

- Zaprowadź mnie do nich.

Łopatto poszła ze mną do jakiegoś domu, gdzie poznałem pewną starszą lekarzkę. Powiedziała nam, że rannych wypuszczają dość łatwo z obozu. W czasie naszej rozmowy nadszedł doktor *Żuczek*, mój szef z Państwowego Zakładu Higieny. Po wysłuchaniu moich przeżyć obiecał włączyć mnie do

grupy starców, którzy za kilka godzin mieli wyjść z obozu. Puszczali ich na wolność, mogli iść, dokąd chcą. Doktor *Żuczek* podarował mi dwa kilogramy wspaniałych gruszek. Dotrzymał także przyrzeczenia.

Wkrótce dostałem się do Milanówka, do Szpitala Dzieciątka Jezus, ewakuowanego z Warszawy. Do mojego szpitala, gdzie odbywałem staż. Miałem tam wielu kolegów. A największą niespodzianką było spotkanie mojej żony. Z kolegów zastałem tam Czarneckiego i Kaczorowską. Żona w pierwszej chwili nie poznała mnie. Byłem zarośnięty, brudny, wychudzony.

Mimo szalonego tłoku dostałem natychmiast łóżko na werandzie. Obok mnie leżał jakiś ksiądz Jezuita, był ranny w nogę. Stale skarżył się, że pod gipsem gnieźdzą mu się wszy. Chciał zdjąć gips, ale nie pozwalano mu tego zrobić. Opowiadał, jak gestapowcy spędzili grupę Jezuitów do piwnicy przy ulicy Rakowieckiej. Tam zarzucili ich granatami i skierowali na nich ogień karabinu maszynowego; został przywalony trupami i dlatego ocalał.

Moim sąsiadem z drugiej strony był Rosjanin z kulą w mózgu. Za nim leżał Akowiec postrzelony w kręgosłup; miał bezwładne nogi i robił pod siebie. Dla niego nie było już żadnej nadziei.

Moich odłamków nie można było wyjąć. Operacja była zbyt ryzykowna. Zostały tam, gdzie były, do dnia dzisiejszego.

Po dwóch miesiącach zostałem wypisany ze szpitala. Pojechaliliśmy z żoną do Starachowic, do mojej bratowej. Tam doczekaliśmy się wreszcie zakończenia działań wojennych.

Władysław Stefanoff

P.S.

O ironio losu! Dramacie godny Szekspira! Bohaterski as wywiadu polskiego, cichociemny por. *Dolina* (Pilch), twórca największego, najlepiej uzbrojonego, najdzielniejszego oddziału partyzanckiego, zostaje podczas Powstania

Warszawskiego pozbawiony dowództwa, zdegradowany i skazany na śmierć. Wyrok gen. *Bora* był absurdalny, toteż nowy dowódca oddziału, kapitan *Szymon*, nie usiłował nawet niczego w Kampinosie zmienić. Żołnierze byli posłuszni jedynie swojemu porucznikowi, do którego mieli pełne zaufanie. Po przejęciu oddziału przez narwanego i pechowego majora *Okonia* też wyroku nie wykonano. Partyzantów *Doliny* rozbiły pod Jaktorowem, z winy *Okonia*, pancerne dywizje niemieckie. *Dolina* ze swoją gwardią przyboczną „przedarł się między szable i groty, uciekł i zmylił pogonie”. W Londynie został zrehabilitowany przez gen. Andersa i awansowany do stopnia majora. W Anglii major *Pilch* jest postacią bardzo popularną. Kręci filmy, wygłasza przemówienia, udziela wywiadów. W 1990 odwiedził Polskę, witany entuzjastycznie przez swoich byłych żołnierzy. Pokazywany był kilkakrotnie w telewizji. A więc ktoś tu zawinił. Czy Anders, że uniewinnił *Pilcha*, czy *Bór*, że go skazał? Opinia publiczna chciałaby wiedzieć coś więcej na ten temat, ponieważ cała ta afera pozbawiła życia kilkuset ludzi z oddziału *Doliny*. Jestem przekonany, że *Bór* się pomylił, a *Pilch-Dolina* zasługuje na najwyższe honory i odznaczenia.

Władysław Stefanoff

Adres:

Dr. Władysław Stefanoff
ul. Sienkiewicza 16
08-110 Siedlce

